

Daleko od dróg przelotowych, tras szybkiego ruchu, szos krajowych i węzłów komunikacyjnych są miejsca warte tego, by dla nich zboczyć z wyznaczonej trasy, zaburzyć nieco plan podróży, zanurzyć się w swojskość Polski niewielkiej, ułożonej jak kostki domina z miasteczek, wsi i osad, gdzie małe społeczności od pokoleń w tym samym rytmie odmierzają codzienność. Błądzimy tego lata daleko od drogi, trochę na zasadzie „cudze chwalicie, swego nie znacie...”, by poznać miejsca mniej znane, a jakże warte choćby krótkiej wizyty...

Sandomierska Częstochowa

Katarzyna Woynarowska

Wystarczy tylko między Klimontowem a Łoniowem, w powiecie sandomierskim, zjechać z ruchliwej krajowej „dziewiątki” Radom – Rzeszów. Nie warto nawet patrzeć na drogowskazy, lepiej spojrzeć wyżej, ku wieżom kościelnym Sulisławic. A potem...

Szare cienie dojrzałego lata – to znak, że niedługo południe. Siedzimy w cieniu kasztanów, na ławeczkach naprzeciw dwóch wiejskich kościołów. Bo Sulisławice mają dwie świątynie wybudowane blisko siebie, otoczone średniowiecznym kamiennym murem. Lekki wiatr przynosi zapach ziół i polnych kwiatów. Jest cicho, spokojnie i sielsko. Stara kobieta w czerni idzie powoli skrajem drogi. Ani jednego samochodu. Cisza tak gęsta od upału, że niemal dotykalna. Jeśli lekko zmruży się oczy, może się zdać, że czas się zatrzymał, a nawet niespiesznie zrobił krok w tył. Przed nami potężna, jasna bryła neogotyckiego kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, wieże i wieżyczki, strzelistość i smukłość, szacunek dla proporcji. Obok – drugi kościół, starszy metryką, po części romański, po części barokowy.

Wchodzimy do większego kościoła. Nie od razu dostrzegamy obraz, którego sława i niebywałe dzieje przywiodły nas tutaj. Gdy stoi się przy balaskach, trzeba solidnie wyteńczyć wzrok, by ujrzeć namalowane na nim dwie postacie.

Dziwny to obraz. W pierwszej chwili rzec można – nic wielkiego. Deska raptem 22 na 22 cm, która stanowiła kiedyś wieczko bursy podróżnej, czyli skrzyni drewnianej na naczynia liturgiczne. Wizerunek nazwano Matką Bożą Bolesną, choć nie Maryja jest na nim główną postacią, ale straszliwie umęczony Jezus. Męża Bolesci, jak dawniej mawiano, podtrzymuje przed

upadkiem Matka. Jedną rękę kładzie na ramieniu Syna, drugą – delikatnie, by nie potęgować bólu – dotyka rany w boku. Oboje patrzą przed siebie, z niemym wyrzutem, ze skargą, z boleścią właśnie.

– Od 8 lat jestem w Sulisławicach – opowiada opiekun tego miejsca ks. proboszcz Mariusz Mazur, zmartwychwstaniec. – I nieustannie jestem świadkiem niesamowitych wydarzeń, cudów, niezwyklej w tym miejscu obecności Bożej.

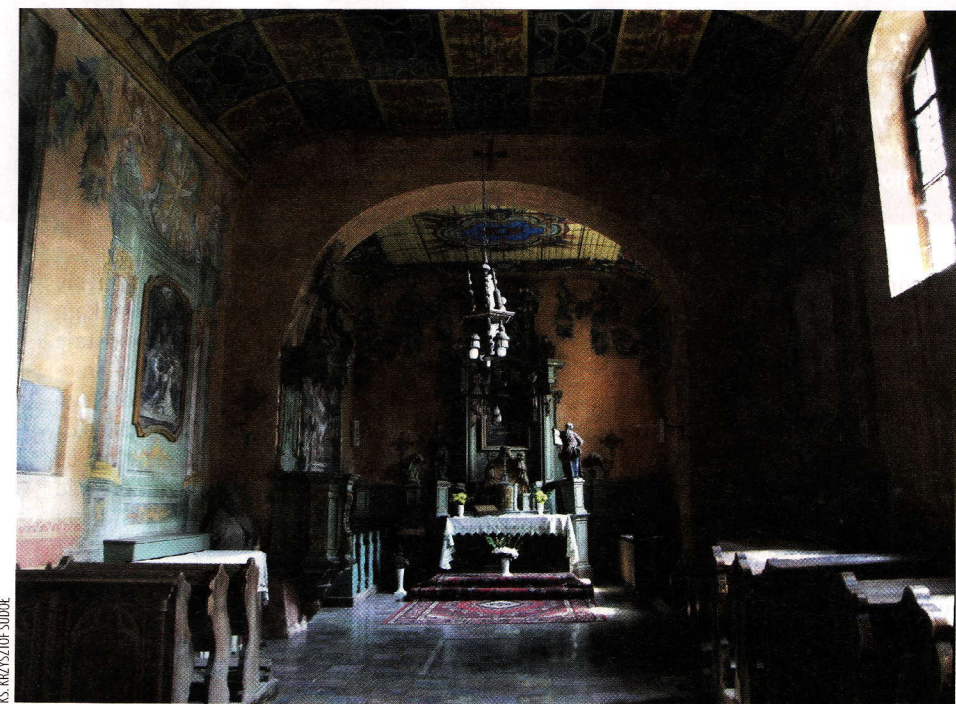
Drogi łaski

Obraz przywiozła do Polski w 1610 r. rosyjska branka Dorota Ogrufina, pojmana jako łup wojenny przez Wespazjana Rusieckiego z Ruszczy – rycerza, który wraz z królem Władysławem III Wazą zdobywał Moskwę. Dorota jako pierwsza opowiadała o niezwykłych właściwościach obrazu. Miał ją ochronić od śmierci głodowej. Po wielu latach, już jako sędziwa kobieta, oddała go do kościoła, bo „dzieci wynosiły go do zabawy”. Chciała, by to, co święte, znalazło godne siebie miejsce. I wtedy zaczęły się dzieła rzeczy przedziwne. W kronikach zapisano, że niewielki obraz lewitował, zapalał świece na ołtarzu, uruchamiał sygnaturkę na wieży. Proboszcz i wikary nie wierzyli własnym oczom, więc obraz zamknęli w pustym kościele, a sami trzymali straż przy drzwiach. Nic nie pomogło – obraz nadal wisiał w powietrzu, świece się paliły, a sygnaturka wygrywała melodie. Był rok 1655, Szwedzi zalewali Polskę potopem, a w Sulisławicach kalecy zaczęli chodzić, ślepi odzyskiwali wzrok, szaleńcy – zdrowe zmysły, a topielcy wstawali z martwych. W kronikach zapisano dzieje Krzysztofa Chęcińskiego ze Staszowa, który odarty przez okrutnych Kozaków ze skóry, wzywając imienia Maryi, całkiem zdrowie odzyskał. Ba, nie tylko pojedyncze osoby owych cudów doznawały, ale całe miasteczka – jak np. Staszów, który w XVII wieku uchroniła od epidemii pielgrzymka do sanktuarium. Mieszczanie staszowscy na pamiątkę owej cudownej interwencji co roku na zakończenie oktawy Bożego Ciała przychodzą do Sulisławic z pielgrzymką. Z tej samej przyczyny od stu lat pielgrzymują tu również mieszkańcy Łoniowa, Koprzywnicy i Trzykos.

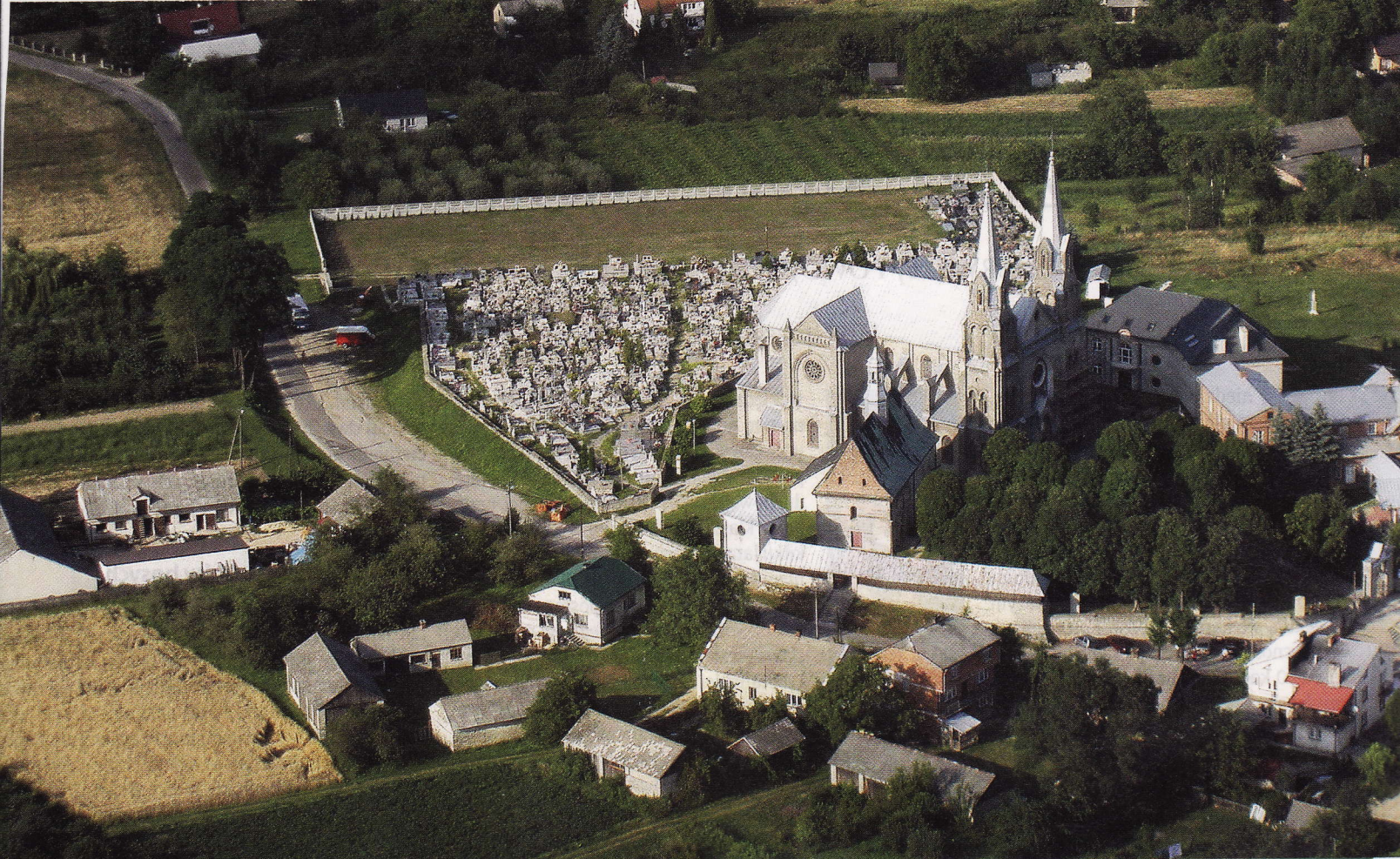
W cuda mocny

Stareńki romański kościół, zmęczony żarem południa, uchyla przed nami drzwi podparte polnym kamieniem. Jasne wstęgi światła opływają drewniane figury świętych, na ciemnych malowidłach z trudem odczytujemy zapisaną w nich historię. Czas zamknięty w drewnie. Drewno ma swoją pamięć. Każde pęknięcie, zadra, rozdarcie, blizna upamiętniają czyjaś modlitwę, westchnienia, błagania. Ile te ściany ich słyszały, skoro przez pierwsze dwa wieki cudowny obraz wisiał w tym niepozornym ołtarzu... Czy na tym pamiętaniu polega urok starych kościołów?

Moc cudów, jakie miały tu miejsce, zdumiewała i prostaczków, i uczonych. Już w 1655 r. wikary z Sulisławic ogłasza, że obraz ma cudowną moc. Czyni to publicznie i bez zgody władz kościelnych, za co ściąga na siebie gniew zwierzchników. Jednak coś jest na rzeczy, skoro trzy lata później do wsi zjeżdża z Krakowa wysoka komisja i przesłuchuje 40 świadków – ludzi cudownie ocalonych z potopu szwedzkiego. Biskup krakowski



Stary kościół w Sulisławicach, w części romański, urokliwy i cichy, skłania do zadumy i modlitwy



Sulisławice z lotu ptaka, zagubione wśród pól i wiejskiej zabudowy. Warto przyjechać też choć na krótko, by dotknąć niezwyklej przeszłości tego miasta

po przeczytaniu raportu komisji natychmiast zezwała na kult obrazu Matki Bożej Sulisławickiej. Miejsce to staje się sławne na terenie całej ówczesnej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Tak wielu przybywa tu pątników, że konieczne jest postawienie dużego murowanego kościoła neogotyckiego, w jego ołtarzu głównym do dziś ma swoje miejsce cudowny wizerunek.

Pielgrzymi, cuda, których wytłumaczyć logicznie nie sposób – w kronikach zapisano setki takich wydarzeń. Gdy więc w 1913 r. obraz ubrano w złote korony, do małych Sulisławic ściągnęło – uwaga! – pół miliona ludzi. Pola wokół wsi jak okiem sięgnąć zastawione były chłopskimi furami i pańskimi powozami. We wsiach zabrakło wody w studniach. W procesji za obrazem szło ćwierć miliona wiernych. Taką rzeszę te ziemie widziały jeszcze tylko raz – gdy do Sandomierza w 1999 r. przyjechał Jan Paweł II.

Trzy korony

Dróżka wiedzie wokół obu kościołów. Z lewej – wiejski cmentarz, na wprost – szeroki krajobraz pól i lasów w barwach dojrzalego lata. Z prawej – drewniane krużganki. Obchodzimy duży kościół, żeby zobaczyć „to” miejsce. Bo świątynia ta ma swoją trudną historię. Włamywano się do niej dwukrotnie, za każdym razem profanując obraz. Pierwszy raz w 1940 r. Złodzieje oderwali od obrazu złote korony, podzierzali ze ścian wota, ale wizerunek zostawili w spokoju. Ponad pół wieku trwało, nim ukoronowano obraz ponownie – w 1991 r. Rok później nocą przyszli złodzieje. Wyłamali okno – dowodem są zniszczenia. Tym razem interesował ich wyłącznie obraz. Weszli i wyszli niezauważeni. Policja i prokuratura prowadziła – jak zwykle mawia się w takich przypadkach – „szeroko zakrojoną akcję”. Jednak bez rezultatu.

Po co krąć cudowny wizerunek? Wyłącznie dla jego wartości artystycznej? A może, by zawłaszczyć jego moc dla siebie? Obraz przepadł. Takie dzieła sztuki pojawiają się czasem na giełdach, czasem po latach w prywatnych kolekcjach, te najbardziej charakterystyczne nie pojawiają się jednak zazwyczaj nigdy. Tym razem wyglądało, że chodzi o kradzież na zamówienie.

W takim przypadku szanse na odzyskanie są zerowe. Aż zdarzył się kolejny cud, może najdziwniejszy z tych, które dotyczą sulisławickiego obrazu.

W rok po kradzieży do kościoła w centrum Warszawy wszedł mężczyzna i bez wielu zbędnych tłumaczeń wręczył tamtejszemu księdzu niewielki pakunek. Jako dar. W środku znajdował się poszukiwany pilnie od roku obraz z Sulisławic.

I tak oto powróciła triumfalnie do swoich słygnąca licznymi łaskami Matka Boża Bolesna. Znow przyszedł Odzyskana przywitać tłumy. Udzielono wtedy pół miliona Komunii św.

Cuda trwają

Ks. Wincenty Suwała, zmartwychwstaniec, napisał przewodnik po sanktuarium w Sulisławicach. Spisał dzieje tego miejsca i cuda, do jakich tu dochodziło. A trzeba wiedzieć, że dzieją się one nieustannie. Opisuje się je starannie, dołącza do niektórych dokumentację medyczną. Dla przykładu: Władysława Kwiatek z Czaplowa 22 września 1996 r. odzyskała wzrok i ciężko chory trzyletni Piotruś Garnarz z Trzykos 7 kwietnia 1999 r. wrócił do zdrowia, w 2004 r. 2,5-letniej Wioletcie Urbańskiej z Małej Bukowej odblokowały się chore nerki. Ks. Mazur wspomina wielką powódź w 1997 r., gdy do sanktuarium przyszli mieszkańcy Ostrówek, nadwiślańskiej wsi. Wszystko wokoło zalane, zniszczone do cna, a oni nietknięci. Mieli wtedy we wsi peregrynującą kopię obrazu Matki Bożej Sulisławickiej, i gdy Wisła rwała wały ochronne, pół wsi runęło na kolana. A ile cudownych wydarzeń nigdy nie zostało zapisanych w księgach sanktuarium, ile pozostanie – wiedzą tylko ci, którzy ich doświadczyli.

Skrzypnięcie drzwi oznacza, że ktoś wszedł do kościoła, skrzypienie ławek – że przykleknął. Na ścianie świątyni widnieje napis o błogosławionej nadziei. Ponoć zjawiają się tutaj pielgrzymi z Gdańska i Bydgoszczy, co roku przychodzą pielgrzymi sandomierscy, ale to nadal cudownie spokojne, ciche, uroklive miejsce. Gdy będziemy jechać ruchliwą krajową „dziewiątką”, zdejmijmy nogę z gazu, przyhamujmy na chwil kilka. Takich miejsc bowiem, jak Sulisławice w polskim krajobrazie jest coraz mniej.

W 2010 r. przypada jubileusz 400-lecia pojawienia się w Sulisławicach cudownego obrazu Matki Bożej Bolesnej. Do tego wydarzenia sanktuarium przygotowują pracujący tu od lat 50. XX wieku księża zmartwychwstańcy. Od kilku lat działa tu także Stowarzyszenie Miłośników Sanktuarium Maryjnego w Sulisławicach, którego ambicją jest przywrócenie dawnego blasku sanktuarijnej świątyni.